

Tekst ze strony [www.poranny.pl](http://www.poranny.pl)

## Teremiski: Uniwersytet Powszechny i edukacja kulturowa

dodano: 10 lipca 2013, 7:00 Autor: Agata Sawczenko, [asawczenko@poranny.pl](mailto:asawczenko@poranny.pl), tel. 85 748 96 59  
(tekst ukazał się w Kurierze Porannym Magazyn pod tytułem "Nasze Teremiski" dn. 28 czerwca 2013)



Katarzyna i Paweł Winiarscy (fot. Agata Sawczenko)

**Czytanie książek dzieciom w przedszkolu, zajęcia rytmiki, warsztaty aktorskie, no i oczywiście Teatr w Stodole - to zadania, jakie postawili przed sobą Katarzyna i Paweł Winiarscy. Do Teremisek pod Białowieżą przyjechali z Warszawy, by tworzyć Uniwersytet Powszechny. Gdy projekt się skończył, zostali tu i dalej zajmują się edukacją kulturową.**

Paweł Winiarski jest synem Danuty Kuroń - żony wielkiego społecznika Jacka Kuronia. Spotkał go, gdy był już w liceum. Przyznaje, że na kształtowanie się jego poglądów, ideałów, charakteru, Jacek Kuroń miał bardzo duży wpływ.

Żonie Pawła, Katarzynie, też nieobce są ideały społecznikowskie. Po skończeniu studiów, duża grupa jej znajomych poszła w kierunku reklamy. Ona wiedziała jedno: nie zamierza zużywać swojej energii, żeby służyła jakimś koncernom, firmom - czemuś, co idzie w próżnię. Chciała robić coś, co będzie służyło konkretnemu dobru, konkretnej sprawie.

## **To miejsce samo do nas przyszło**

Postanowili, że podzielą się tym, co sami umieją i co potrafią ich znajomi, i będą robić obozy dla młodzieży ze świetlic i organizacji, którymi zajmowała się Jacka i Danusi Fundacja Pomoc Społeczna SOS. Kilkudniowe warsztaty dla młodzieży z byłych PGR-ów i innych miejsc w Polsce, które najbardziej dotknęła transformacja, miały sprawić, by młodzi ludzie mogli oderwać się od swego dotychczasowego życia, wyciszyć się, uspokoić. I nauczyć się żyć w nowej rzeczywistości. Bo okazało się, że coraz częściej tacy właśnie ludzie są wykluczani ze społeczeństwa.

- Chcieliśmy wynająć leśniczówkę w Puszczy Białowieskiej - opowiada Katarzyna Winiarska. Przyjechali więc do przyrodnika Adama Wajraka, który już dwa lata mieszkał w Teremiskach. Paweł znał go z podwórka. Razem wychowali się na warszawskim Żoliborzu.

- Okazało się, że za płotem domu Adama jest na sprzedaż stara szkoła. I Adam zaproponował, że ten budynek kupi i użyczy go Fundacji Jacka Kuronia. Nie mieliśmy więc wyjścia - musieliśmy ten nasz projekt przeprowadzić z większym rozmachem. Bo mając do dyspozycji taki budynek, nie można poprzestać na krótkich programach edukacyjnych - uśmiecha się Katarzyna Winiarska. - To miejsce trochę tak jakby samo do nas przyszło.

Wtedy właśnie zaczęli tworzyć Uniwersytet Powszechny. Powszechny, czyli ludowy.

- W Polsce przed wojną istniały 22 takie uniwersytety. Myśleliśmy więc, że wchodzimy na szeroką, przetartą drogę. Wydawało nam się, że wystarczy pojechać w parę miejsc i popytać ludzi, którzy powiedzą nam, jak to zrobić - mówi Paweł. Okazało się inaczej. Nie dostawali konkretnych wytycznych, co i jak zrobić. Dlatego przygotowania do stworzenia uniwersytetu trwały dwa lata: dwa lata pełne książek na ten temat, zastanawiania się, planów, burzliwych rozmów z Jackiem i Danusią Kuroniami.

## **Bożena rzuciła zaklęcie**

W końcu ruszyli. Stworzyli miejsce, gdzie jednorazowo zapraszali około 20 młodych ludzi. Zapewniali dach nad głową, jedzenie, no i edukację - twórczą, kulturową, społeczną. Pobyt w Teremiskach jednej grupy trwał dziewięć miesięcy. Potem ci młodzi ludzie mieli możliwość przez dwa lata korzystać z domu, który fundacja wynajmowała w Warszawie. Często ten warszawski czas poświęcali na to, by pokończyć przerwane szkoły, zrobić maturę, rozpocząć studia.

Do Teremisek Kasia i Paweł przeprowadzili się od razu, jak tylko ruszył Uniwersytet. Zamieszkali razem ze swoimi podopiecznymi.

- I staraliśmy się pomóc im znaleźć w sobie siłę, by pokierować swoim życiem - tłumaczy Paweł. - Na początku nie chcieliśmy stawiać żadnych granic tego, czym się będziemy zajmować. W praktyce okazało się potem, że zajmujemy się sprawami związanymi z kulturą, historią, różnorodnością kulturową, edukacją twórczą. Jednak cały czas staraliśmy się raczej stawiać pytania niż dawać konkretne odpowiedzi.

Dlatego zajęcia to były przede wszystkim rozmowy, spotkania z ciekawymi ludźmi. No i nauka - taka jak najbardziej praktyczna. Bo na przykład pokazywali tym młodym ludziom cerkwie, kościoły, synagogi, meczety. Następnie zapraszali kogoś, kto im o tym opowiadał. A potem - śpiewali wspólnie pieśni. Albo powstawał spektakl na ten temat. Choć na początku wcale nie mieli w planach, by założyć teatr. Te spektakle miały z jednej strony uczyć chociażby występów publicznych, z drugiej - otwartości na odmienność innych.

I tak było - aż do czasu, gdy do Teremisek przyjechała ze swoją grupą Kronik Sejneńskich Bożena Szroeder z Sejn. Po dwutygodniowych warsztatach chcieli pokazać ludziom ze wsi, nad czym dzieci tak pracowały. Kasia i Paweł właśnie kupili sobie dom w samym środku wsi. Obeszli więc gospodarstwo w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca. Znaleźli stodołę: okropnie zabałaganioną, pełną słomy, siana. Szast-prast i wspólnie ją posprząтали i zorganizowali przedstawienie. Na widowni zasiadło kilka pań ze wsi.

- A potem Bożena powiedziała takie znamienne zdanie: że już teraz to musimy tu zrobić teatr w tej stodole, bo jak nie będziemy robić, to nam spłonie. No i jak rzuciła takie zaklęcie, to trzeba było - opowiada Kasia.

### **Taka publiczność to skarb**

Niestety - po siedmiu latach musieli zawiesić ten wielki program, który realizowali na Uniwersytecie. - To był dramat: i dla nas, i dla jego uczestników - mówi Paweł. Ale nie było wyjścia - zwyczajnie zabrakło pieniędzy. Polska weszła do Unii Europejskiej i zmieniły się zasady finansowania takich miejsc.

- Teraz piszemy projekty. A projekt to sprawa jednorazowa. Nie ma miejsca na powtarzalność, ciągłość - tłumaczy Paweł. I przyznaje, że to właśnie stanowi dla ich działalności główną przeszkodę. Nawet teraz, gdy zajęli się czym innym. Bo im zależy na tym właśnie, by nie przerywać tego, co robią. By zajęcia dla dzieci czy dorosłych kontynuować.

- Teraz nieźle się trzeba przy tym nagimnastykować, żeby dostać dotację. W każdym projekcie trzeba wszystko przedstawić nieco inaczej - wyjaśnia Kasia. A Paweł opowiada, jak to się stało, że zaczęli pracować na rzecz lokalnej społeczności: - Gdy kończyliśmy ten wielki program stacjonarny, przyjechał do nas pan wójt. I zapytał, czy nie moglibyśmy się trochę w tę Białowieżę zaangażować. To było w idealnym momencie. Bo z jednej strony przed nami stało pytanie, co i dla kogo mamy robić w tych nowych realiach, a z drugiej strony bardzo pilnowaliśmy się, żeby nie występować w Białowieży jako mądrzele z Warszawy, które mają pomysł na to, jak powinno się żyć.

Uniwersytet jest nadal miejscem edukacji dla grupy białowieskiej, młodzieży białoruskiej z Białegostoku, seminariów. Ale ważny jest też teatr. Tym bardziej, że scena była już oswojona i zaczarowana, a przedstawienia i tak już się tu odbywały. Posprząтали do końca stodołę, wywieźli słomę i siano. Mieszkańcy dali im deski na scenę, którą wspólnie z chłopakami z uniwersytetu zbudowali w jedną noc.

Na początek wystawiali ze studentami sztuki tylko dla mieszkańców Teremisek. Wieszali plakat przed sklepem, a potem jeszcze chodzili po domach i zapraszali osobiście.

- Ale nagle się okazało, że na widowni siedzą ludzie, których my nie znamy, że przychodzą ludzie z innych wsi, z Białowieży, z Hajnówki, Białegostoku, nawet z Krynek, jacyś turyści - mówi Kasia. Wtedy jeszcze przedstawienia odbywały się tylko dwa razy w roku. Jedno zimą - kolędnicze, na które i aktorzy, i widzowie przychodzili w kożuchach, bo stodoła jest przecież nieogrzewana.

- A potem w maju urządzaliśmy spotkania teatralne. Nadal to robimy, w tym roku były już siódme - mówi Paweł.

No właśnie - bo któregoś roku postanowili ten swój teatr rozbudować. Nazwali wydarzenie: Stodoła z Kulturą i przez całe wakacje organizowali koncerty i spektakle.

- Ludzi przychodziło full. I już wiedzieliśmy, że to trzeba robić. I że trzeba szukać na to pieniędzy - mówi Kasia.

Teraz sezon w Teatrze w Stodole trwa od końca kwietnia aż do października - coś się dzieje niemal co tydzień. Winiarscy zapraszają przede wszystkim teatry alternatywne, ale są też koncerty, spotkania autorskie, pokazy filmowe, warsztaty.

Dziś grupy teatralne zgłaszają się do nich same. I z każdym można się dogadać. Niektóre teatry mają pieniądze na występy i nie oczekują zapłaty od nich, inne przyjeżdżają na kilka dni i w budynku Uniwersytetu mają próby. Wtedy grają niemal za darmo. Albo przyjeżdżają, bo wiedzą, że w teatrze w Teremiskach mogą zaszaleć ze scenografią. Tu nikt im nie powie: nie wieszajcie nic na tej ścianie, bo zniszczycie. Wszystko można.

Aktorzy doceniają też teremiszczańską publiczność, która żywo reaguje, z którą można porozmawiać, dla której nawet można zmienić nieco spektakl - bo tak akurat wyszło.

- Tu ta dużo bardziej swobodna atmosfera jest wyzwaniem, a z drugiej strony daje poczucie, że jest się w dialogu, daje taką parę do grania - tłumaczy Kasia.

### **Z Lutosławskim za pan brat**

To wszystko sprawia, że Kasi i Pawłowi udaje się działać niemal bez pieniędzy. Zresztą tych rzeczy, które udaje się zrobić za małe pieniądze, jest znacznie więcej.

- Od pięciu lat co miesiąc przyjeżdżają do przedszkola artyści z Filharmonii Warszawskiej. Są koncerty, muzycy, prawdziwe instrumenty i osoba, która o tej muzyce dzieciom opowiada. Białowieża to najdalej na wschód i północ wysunięte miejsce, do którego przyjeżdżają. Uprosiłam ich - mówi Kasia.

Jej zasługą są również cykliczne zajęcia z rytmiki w przedszkolu: rytmiki, na których dzieci same tworzą muzykę na prostych instrumentach. Każdego roku Kasia musi się nieźle nagimnastykować, by znaleźć pieniądze na zajęcia. W tym roku podpisała projekt pod Rok Lutosławskiego.

- I potem musiałam szukać osoby, która poprowadzi warsztaty dla dzieci właśnie w oparciu o muzykę Lutosławskiego. Warsztaty ciekawe dla dzieci, bo to przecież nie jest łatwa muzyka. Udało się - mówi.

To nie koniec akcji przedszkolnych. Kasia przyznaje, że odkrywa wiele potrzeb w tutejszym przedszkolu czy w szkołach, gdy sama tam przychodzi ze swoimi dziećmi.

- No bo skąd na przykład mogłabym wiedzieć, że w przedszkolu właściwie nie ma książek?

Teraz już na szczęście jest tam niezła biblioteczka. Pierwszych 200 książek Winiarscy kupili jeszcze z pieniędzy Fundacji. Potem Kasia nawiązała współpracę z portalem Qulturka. Zapytała, czy nie znają wydawnictw, które mogłyby przekazać bezpłatnie książki. Okazało się, że portal rusza akurat z akcją "Dzielę się Książkami". Wpisali Fundację im. Jacka Kuronia na listę, gdzie wysyłają zdobyte książki.

- Proszę, przysła już od nich trzecia paczka - pokazuje Kasia.

Mają też prywatnego darczyńcę, który co dwa miesiące przysyła im paczkę książek za około 200 zł. Kasia wysyła mu zawsze listę potrzebnych książek, bo zależy jej, by dzieci nie dostawały książek - jak sama je określa - z fast foodu, z disnejowskimi treściami i obrazkami. Chce, by trafiała do nich dobra - i dobrze ilustrowana - literatura. Co tydzień też - zawsze w poniedziałki - w przedszkolu

białowieckim odbywa się akcja: Białowieża czyta dzieciom.

- Ktoś przychodzi do przedszkola czytać. Rodzice, dziadkowie, my, goście, którzy do nas przyjeżdżają, inni mieszkańcy Białowieży: ksiądz, lekarka, pani sprzątaczką, każdy może przyjść - mówi.

Dzięki takiemu podejściu do dzieci, nie ma problemów z frekwencją, gdy organizowane są na przykład warsztaty teatralne.

- Ale zgłaszają się przede wszystkim te dzieci, które przeszły cały program i czytania, i koncertów, i rytmiki - mówi Paweł. - To dowód, że nasza praca przynosi efekty. I tym bardziej staramy się, by zajęcia były cykliczne.

### **Jestem w stanie zmienić świat**

Kasia i Paweł Winiarscy przyznają, że wrosli już w teremiszczańską i białowiecką społeczność.

- A i ludzie, zwłaszcza gdy kupiliśmy dom we wsi, po najbogatszym gospodarzu, poczuli, że my tu zostajemy naprawdę. Zaczęli do nas przychodzić, wspominać. Każdy ma do opowiedzenia jakąś historię związaną z naszym domem. Jak przychodził do stodoły młócić. Że była szkoła w jednym z naszych pokoi. Że tu było pierwsze radio, że tu się słuchało wiadomości o wojnie. Zebraliśmy te opowieści ludzi oraz pieśni, które śpiewali i w rezultacie powstało z tego przedstawienie "Opowieści Teremiszczańskie". A potem i książka o tym samym tytule, którą ofiarowaliśmy mieszkańcom. To się okazało bardzo ważne dla ludzi, docenienie ich historii i ich miejsca. No i to, że tu się urodziły nasze dzieci, jakby nas w tej wsi uprawomocniło - mówi Kasia.

Starszy Szymek nie cierpi miasta. Przeszkadza mu, że w mieście śmierdzi i nigdy nie jest tak naprawdę ciemno. Za to czteroletnia Hania zapowiada już, że gdy w końcu dorośnie, na pewno się wyprowadzi. Chyba faktycznie będzie musiała poczekać na dorosłość, bo jej rodzice cały czas mają nowe plany, co jeszcze można zrobić w Teremiskach.

- Jacek Kuroń mówił kiedyś o wspólnocie ojczyzn, gdy na jednej przestrzeni żyją ludzie, którzy mają identyfikację białoruską, ukraińską, polską, i każdy z nich nie mijając się z prawdą może powiedzieć, że to jest moja ojczyzna, bo tutaj są moi przodkowie od zawsze. My tu żyjemy w takiej przestrzeni, która ma te cechy wspólnoty ojczyzn. Jest to niełatwe dziedzictwo, ale zarazem duże bogactwo - mówi Paweł. Chciałby je wykorzystać - trochę turystycznie, trochę kulturowo. Myśli nad warsztatami, seminariami, a nawet czymś w rodzaju multimedialnego muzeum.

- Kiedy zaczynaliśmy, miałem takie zuchwałe przekonanie, że jestem rzeczywiście w stanie zmienić świat. Teraz, po kilkunastu latach, już oczywiście nie mam takiego przeświadczenia i mam strasznie dużo wątpliwości - przyznaje Paweł. Ale zapewnia, że wie jedno - nadal chce iść w tym samym kierunku.

- Nauczyl mnie tego Jacek i mama. Ale z drugiej strony czuję też, że to tradycja rodzinna ze strony mamy. Jak czytam o moim pradziadku Bernardzie Filarskim, który był członkiem tajnych stowarzyszeń edukacyjnych, sądzony i skazany w toruńskim procesie Filomatów, potem był w Gdańsku, zakładał biblioteki, harcerstwo, towarzystwa społeczne - to wierzę, że idę podobną drogą, co on.